Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę
Administracja: ulica Grodzickich l. 4.
w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 2.
dnia 12. Grudnia 1880.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . . 2 zł.
półrocznie . . . . 4 zł.
rocznie . . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*"

TOM I.

Errare humanum est

(*C. d.*) Po chwili Stern zapytał swego towarzysza jakby od niechcenia:

— Nie znasz pan tego człowieka w kapocie, co tam siedział pod tym świętym Janem?

— Pierwszy raz go widzę... Zdaje się, że to jakiś podróżny.

Na tem urwała się rozmowa; odtąd jechali w milczeniu. Niedaleko domu Stern kazał znowu stanąć.

— Prawda *Herr Sekretaer*, że to moja córka? — rzekł w powozie stając, i ręką pokazując przedmiot dość niewyraźny, który za zbożem się poruszał.

W rzeczy samej była to panna Róża Stern. Odwiedziwszy Praksedę, spieszyła teraz do chaty Wasyla.

— I mnie się zdaje, że to ona.

— Tak jest, to ona — ojciec żywo potwierdził, i zapomniawszy o swej roli, głośno krzyknął: — *Rojse! Rojse! Kim-że her!*

Pan Stern miał jedną wielką wadę, od której dotąd nie mógł odwyknąć, mimo że się o to usilnie starał. Ilekroć czem się ucieszył, zdziwił lub przestraszył, zapominał, że jest *ein fein gebildeter Mann*, jak to o sobie sam chętnie utrzymywał, i zawsze wtedy wyrywało mu się słów kilka w pospolitym żargonie żydowskim. W takich razach, jeżeli był obecnym, robił go uważnym sekretarz, który prócz innych zajęć, miał także obowiązek przestrzegać, by jego chlebodawca niczem nie zdradzał swego pochodzenia.

— Przepraszam — rzekł garbus za surdut go ciągnąc — przecie to panna Róża.

— Prawda, że to panna Róża, zapomniałem! Róziu! Róziu! gdzie ty idziesz? — dodał głosem przeciągłym.

Nie musiała go ani widzieć, ani słyszeć, gdyż zajęta psem, który przed nią biegł, radośnie nadszczekując, szła dalej ku chacie Wasyla.

Ojciec wysiadł z powozu.

— Niech pan sam jedzie do pałacu, bo ja muszę córkę nawrócić... Bóg wie po co ona tam poszła. A ty Janie nie zajeżdżaj przed ganek, pan sekretarz niech w bramie wysiądzie, tylko jedź prosto do stajni. Ja zaraz przyjdę, niech pan na mnie czeka... A uważaj na konie, Janie, żeby im się co złego nie stało.

Po tem przemówieniu, kocz potoczył się ku dworowi; Stern zaś pobiegł za córką, którą dopędził przed samą chatą Wasyla.

Neptun usłyszawszy w tyle kroki przyspieszone i nie poznawszy nadchodzącego, rzucił się ku niemu zajadle. Pies to był potężny, czarny, kudłaty, rasy neufundlandzkiej, o paszczy szerokiej i zębach ostrych, bo młodych.

— Róziu! — krzyknął Stern w bok skacząc — trzymaj *Neptuna*!

— Niechże się tatko nie boi — odpowiedziała dziewczyna, z przestrachem się obracając. — On nic nie zrobi, on tylko tatka nie poznał, bo się go tu nie spodziewał.

— Dobrze ci mówić, że nie zrobi... To rozbójnik nie pies, on mnie jeszcze kiedyś zje!

Na to powiedzenie Róża nie mogła się wstrzymać od uśmiechu.

— Ciekawym na co ty jego trzymasz — mówił dalej, ku córce podchodząc. — Czyś ty pomyślała, co on kosztuje? On więcej je niż wół. A jaki z niego pożytek? Chyba ten, że ludzi straszy! Oj Róziu, Róziu, ty nic na to nie uważasz, że ja się gryzę.

— Ależ tatku, wszak *Neptun* to największa moja przyjemność! To mój jedyny towarzysz i przyjaciel. Zresztą ja go utrzymuję z moich dochodów.

— No, co mam robić, niech już i tak będzie! Ty wiesz Róziu, że ja tobie na wszystko pozwalam. Ale powiedz mi teraz, zkąd i dokąd idziesz? A w tym koszu co masz? Pokaż no Róziu!

Zaczął koszyk przetrząsać.

— Kilka flaszeczek z pigółkami homeopatycznemi, kurczę pieczone, bocheneczek chleba i wina butelkę.

— *Aches mir!* — krzyknął ojciec za głowę się chwytając. — Ty mnie chcesz zniszczyć, z torbami puścić! Kto widział robić dla gojów takie ekspensa! A czyś ty pomyślała co to warte? Najmniej *a ranesz und drassig krazer.*

— Ależ mój tatku, ja to wszystko kupiłam za moje własne pieniądze. Z tych dziesięciu guldenów, które od tatka miesięcznie dostaję, mam nie tylko na buciki i rękawiczki, lecz także na lekarstwa i pożywienie dla chorych.

— Ale na co tobie Róziu takich rzeczy, na co? Czy tobie co z tego przyjdzie?

— Prawda, że tatko marzy o krześle poselskiem?

— No prawda... lecz co to ma jedno z drugiem?

— Otóż jeżeli ja będę odwidzała chorych i ubogich, rodzina nasza będzie w poszanowaniu między włościanami, którzy potem przez wdzięczność zaszczycą tatka wyborem.

Ojciec w córkę się wpatrując, do połowy usta otworzył. Chwilę tak stał, nie mogąc wyjść z zadziwienia; nareszcie plasnął językiem i zawołał:

— Róziu! Róziu! jaką ty masz głowę! *A fain kepełe!* Jakbyś ty była chłopcem, byliby cię już dawno rabinem obrali... To drugi Mendelsohn!

— A widzi tatko, że i ja mam zawsze interes na oku.

— No, dobrze już Róziu, dobrze... ja widzę, że ty masz rozum delikatny. Idź więc do Wasyla i daj mu lekarstwo... Tylko proszę cię Róziu, nie zostawiaj od razu tym goimom po całej butelce wina i bochenku chleba. A kurczęta! Kto słyszał takim prostym chłopom dawać kurczęta. Jak on ma wyzdrowieć, to wyzdrowieje i bez kurczęcia, a jak ma umrzeć, to mu i wielka kura nie pomoże. No, a chleba to dawaj im po małej kromeczce, żeby jeden bochenek na cały tydzień wystarczył. Wino może być także tańsze. U Mendla jest butelka po piętnaście centów. Ciu! ciu! ciu! jakie wino! — Tu cmoknął ustami. — Można je jeszcze wodą rozpuścić i dodać trochę cukru... Chłopu będzie takie lepiej smakowało, no i prędzej mu pomoże, bo słabsze.

— Dziękuję tatkowi za radę praktyczną... będę się starała z niej korzystać.

Ojciec pogłaskał córkę po twarzy, ona zaś w rękę go pocałowała. Potem cofnął się o krok, i głowę przekrzywiwszy zaczął ją podziwiać.

— Róziu! Róziu! Jaka ty śliczna panna! Kto wie, co jeszcze z ciebie będzię! Ty może pójdzież za jakiego księcia.

— Za kogokolwiek tatku, byle kochać i być kochaną.

— Ojoj! Róziu, ktoby ciebie nie kochał! Przecie ty taka śliczna, edukowana, no i będziesz miała pieniądze.

Córka nic na to nie odpowiedziała. Pożegnawszy ojca uśmiechem, pobiegła do chaty Wasyla, dokąd on ją wzrokiem odprowadził.

Pan Stern zwrócił się ku dworowi, który w oddaleniu kilkuset kroków bielał na pagórku. Skorzystamy z tej sposobności, by mu się bliżej przypatrzeć.

Wzrost jego niski i szczupła budowa ciała; lat ma najwięcej czterdzieści dwa lub cztery. Na jego głowie włos jest gęsty i tak czarny, że aż w kolor granatowy wpada, a chociaż go krótko obciął, końce ciągle mu się skręcają. Cera twarzy smagła, czoło ani wysokie ani zbyt niskie, wąs piękny, czarny, rys twarzy w ogóle regularny, i tylko w wypukłej oka budowie, w rysunku nosa i w linjach ust wydętych, jest coś takiego, poczem europejczyk poznaje zawsze i wszędzie rasę semicką. Pan Stern nie jest mężczyzną brzydkim; przeciwnie, nie jeden mógłby nawet słusznie utrzymywać, że należy on do przystojnych, a mimo to, choćby ust nie otworzył, każdy na pierwszy rzut oka poznaje w nim żyda. Jest-że to znamię wyższości nad wszystki[illegible] ludami świata, jakto synowie Izraela dumn[illegible]

sobie utrzymują, czy też piętno przez Boga na nich wyciśnięte, by każdy strzegł się ich i unikał? Cokolwiek bądź nie da się zaprzeczyć, że z wszystkich ras, semicka przechowała się w Europie w największej czystości. Podczas gdy inne bądź dawno już zginęły, bądź przez ciągłe krzyżowanie z obcemi rasami, zatraciły swoje znamiona charakterystyczne, jedna rasa semicka jest do dziś taką, jaką była za czasów Nabuchodonozora i Faraonów egipskich. Zaiste podziwiać należy organizację, dzięki której naród ten po dziśdzień zachował cały swój charakter.

Pan Stern byłby jeszcze przystojniejszy, gdyby choć czasem twarz jego ożywiała się swobodną wesołością. Ale wyraz jego oblicza jest zawsze zamyślony, prawie ponury; uśmiech wesoły nigdy na jego ustach nie zawita, słowem i pod tym względem jest on do swoich braci podobnym. Żyd albo ciągle myśli i oblicza, lub też popada w szał wyuzdany, w którym staje się dzikiem stworzeniem. Drogi pośredniej, owej wesołości niewymuszonej, która ludzi zbliża i stosunki robi słodszemi, a o której Spinoza, mimo że sam był żydem, powiedział: „iż nie jest skutkiem cnoty, ale cnotą samą“ rasa semicka nietylko nie ma w sobie, lecz jej nawet nie rozumie.

Nie miał jej w swoim charakterze pan Stern, nie miała jej także jego żona, Sara, lecz za to w wysokim stopniu posiadała ją ich córka, Róża. To też dziwnie odbijało to piękne i swobodne dziewczę od tego stadła zawsze ponuro zamyślonego. Najbardziej to uderzało samego ojca, który jakkolwiek córkę nad życie kochał, we wszystkiem jej ulegał, i uważał ją za doskonałość samą, wołałby był przecież, żeby i pod względem temperamentu więcej się z nim zgadzała. Róża tymczasem nie tylko tem jednem różniła się od swoich rodziców. Oni byli silni bruneci, z wybitnemi znamionami rasy semickiej, przeciwnie ona należała do błękitnookich szatynek, i cerę miała tak białą, że ojciec i matka wyglądali przy niej jak metysy przy europejczyku. Sszczególnych bo też skoków natura sobie czasem pozwala!

Nikt nie wiedział, gdzie się pan Jakób Stern urodził, ani gdzie przedtem mieszkał nim do Ludaczowa zawitał. On sam nie wiele wspominał o swojej przeszłości, a ponieważ żydzi w Galicji, ilekroć tego potrzebują, umieją wybornie ukryć miejsce [illegible]ro urodzenia, więc i najskrzętniejsze w tej [illegible]ie dochodzenie nie przyniosłoby żadnego skutku. Sąsiedzi jedynie tyle wybadali, że jakiś czas mieszkał w Niemczech i w Ameryce, że na giełdzie majątku się dorobił, i że się urodził między Polakami, co z drugiej strony potwierdzała w nim także dobra znajomość języka polskiego. Wprawdzie tak mąż, jak żona źle polskie słowa wymawiali, lecz zato wyrazów nigdy im nie brakło. Przeciwnie ich córeczka mówiła taką polszczyzną i tak cudowną miała wymowę, że sam Krasiński mógłby jej tego pozazdrościć. Zawdzięczała to kilkoletniemu pobytowi w stolicy, dokąd ojciec wywiózł ją po kupieniu Ludaczowa. Mieszkając tam w pierwszym pensjonacie, nabrała wdzięku w ruchach, wykształciła sobie główkę, uszlachetniła serce, i nauczyła się mówić pięknie po polsku.

Pan Stern kupił Ludaczów z przyległościami na publicznej licytacji. Majątek to był wielki i bardzo dobrze położony. Przedtem należał do jednego z tych magnatów, którzy zdrowie i fortunę w Paryżu stracili. Zaledwie Stern został jego właścicielem, wypuścił żydom wszystkie folwarki w dzierżawę, ekonoma chrześcijanina zastąpił żydem wiernikiem, i tylko leśniczego zostawił na dawnej posadzie. O ile się zdaje, nie uczynił tego z dobrego serca, lecz z prostej konieczności, w lasach bowiem ludaczowskich znajdowało się dosyć dzików, a i wilki zimą tam zaglądały, żaden przeto żyd nie byłby się odważył wśród takich okoliczności pełnić obowiązków leśniczego. Gdy go ten i ów zapytał, czemu samymi żydami się otacza, odpowiedział, że kupiwszy Ludaczów małemi pieniądzmi, musi się oszczędzać, a żydzi kosztują go o połowę taniej niż chrześcijanie.

Ale chociaż tak mało miał pieniędzy, do roku postawił ogromny młyn parowy, który w wysokim stopniu okolicę ożywił: wieśniacy znajdowali zarobek, szlachta mogła łatwo zboże spieniężać. Od tego czasu pan Stern został dobrym sąsiadem okolicznych właścicieli ziemskich, chętnie bowiem dawał im zaliczki na żyto i pszenicę. Z początku ten i ów sądził, że czasem będzie mógł od niego także na weksel pożyczyć, lecz pod tym względem nastąpiło rozczarowanie. Pan Stern wręcz oświadczył, że nie jest „paskudnym lichwiarzem“ i pożyczki odmówił. Nikt mu tego nie wziął za złe; przeciwnie każdy podnosił jego uczciwość, stawiając go na wzór innym izraelitom.

W rozmowie ze szlachtą nazywał się „Polakiem wyznania mojżeszowego“ co przy rozmaitych oko-

licznościach nawet dzienniki stolicy szumnie podnosiły, a gdy w dodatku swoją jedynaczkę w pensjonacie czysto polskim umieścił, poklask dla niego był odtąd ogólny. Wprawdzie z żoną rozmawiał najczęściej po niemiecku i czytywał tylko *Neue freie Presse*, a *Teraźniejszość* i jakiś tygodnik polski trzymał jedynie dla córki i gości; wprawdzie w rozmowie z żydami, zwłaszcza z niemieckimi, o Polakach wyrażał się z najwyższą pogardą, nazywając ich „*Polacken aus der Polakei*“ lecz ponieważ wszystko to czynił między swymi, w zaciszu ogniska domowego, lub na giełdzie wiedeńskiej, więc też żaden Polak nie czuł się tem obrażony, czego nie słyszał.

Pan Stern nie był pozbawiony zmysłu estetycznego i tem wielce różnił się od swoich rodaków, którzy opanowali cały kraj nad Wisłą, Niemnem i Dniestrem. Jako *fein gebildeter Mann*, który lat kilkanaście spędził we Wiedniu i Berlinie, nauczył się unosić nad poezją Heinego, zachwycać się operetkami Offenbacha, i podziwiać malowidła Mackarta. W głębokiem jego przekonaniu, w tych trzech nazwiskach zestrzelił się cały genjusz ludzkości, a po za ich dziełami nie ma już sztuki. I niktby mu tego z głowy nie wybił, boć innej sztuki on nie rozumiał. I nie mogło być inaczej. Człowiek tylko to rozumie, co jest zgodne z jego charakterem. Z charakterem zaś pana Sterna godził się najzupełniej wszystko burzący i nic niekochający sarkazm Heinego, który więcej niż cokolwiek innego przyczynił się w bieżącem stuleciu do upadku prawdziwej poezji; wyuzdaność Offenbacha, podsycająca orgje i bachanalje; nakoniec jaskrawa lubieżność kolorytu Mackarta, którą ten artysta na zmysły działa, pokrywając nią równocześnie brak głębszej myśli.

Czy pan Stern był dobrym żydem pod względem religijnym? Na to pytanie najtrudniej nam odpowiedzieć. W kraju utrzymywał, że jest „Polakiem wyznania mojżeszowego,“ znalazłszy się między giełdzistami we Wiedniu lub Berlinie, twierdził ostentacyjnie, że jest *confessionslos*, (bezwyznaniowy) córce mówił, że przychyla się do sekty żydów zreformowanych według filozoficznych teoryj Mendelsohna, a żonę, która nie przestała należeć do chassydów, upewniał, że w głębi duszy i on Tałmud wyznaje.

Gdy go córka raz zapytała, jaką by drogą ona pójść powinna, najpierw przekonał się, czy go żona nie słyszy, potem w te słowa przemówił:

— Moja Róziu! Ja tobie nic nie radzę, bo ty masz swój własny, delikatny rozum. Jedz koszerne i chodź do szkoły, kiedy sobie tego matka życzy, a jak kiedyś pojedziemy na wojaż, to będziemy razem jedli wieprzowinę i oglądali kościoły goimów. W teraźniejszych czasach moja kochana, religijność to wielkie głupstwo, za to nikt nic nie da. Bezwyznaniowość, to mi prawdziwy interes! Do bezwyznaniowego cały świat należy.

Córka słysząc to, zbladła jak chusta. Biedne dziecię chciało koniecznie wierzyć i kochać, a tu własny jej ojciec radził jej w nic nie wierzyć, i nic nie kochać. Nie mogła zrozumieć tej obojętności dla celów wyższych, dla piękna i ideałów, o czem jej tak dużo na pensji mówiono, a ku czemu rwało się jej serce młodzieńcze. Nie mogła pojąć, bo nie wiedziała, że w duszy jej ojca tkwi żądza panowania, żądza straszna i wszystko w sobie pochłaniająca, żądza, której on sam nie rozumiał, a instynktowo dla niej pracował, żądza, która jak kołem niewidzialna para, duszą całego Izraela porusza. Interes, o którym mówił, i który ciągle stawał mu przed oczyma, był tylko środkiem, który go miał do panowania zaprowadzić.

Pan Stern ubierał się bardzo wytwornie, chociaż czarno; u złotego łańcuszka błyszczało kilkanaście drogich wisiorków, a na palcach nosił pięć złotych pierścieni z dużemi brylantami. Zgodnie z ubiorem, usiłował być uprzejmym, co jednak nie zawsze mu się udawało, i z wszystkich sił starał się mówić poprawnie. Że to ostatnie często go zawodziło, mieliśmy tego głośne dowody w rozmowie z garbusem i Rózią. Martwiło go to niezmiernie, jak nie mniej i to, że musiał sobie trzymać sekretarza, i płacić mu pięćdziesiąt guldenów miesięcznie, z władzami bowiem nie mógł sam po polsku korespondować, a po niemiecku nie chciał przez wzgląd na swój własny interes. Z drugiej jednak strony to go znowu pocieszało, że sekretarz dodawał mu uroku wielkości, i że garbusek, jako Polak, szlachcic i chrześcijanin, nie raz i nie dwa mógł mu tam dopomódz, gdzie on, jako żyd, nie byłby w stanie sam nic uczynić.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NA BŁĘDNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Abel struchlał. Dwie błyskawice przebiegły mu przed oczyma. Ten niegrzeczny kasjer, taki arogant, stawał się głupcem zbyt poufałym, skoro się zamieniał w pięknego tancerza kasyna. Co zaś do jego gospodarza, czemuż zdawał się żałować, że go tak grzecznie przyjął? Co znaczyło to odsunięcie się, dowodzące pewną odrazę, a nawet przeciwne wszelkiej towarzyskiej grzeczności?

Spojrzał na niego, a pan de Somery zaczerwienił się mocniej pod tym wzrokiem pytającym.

Abel przygryzł wargi; zaćmiło mu się w oczach. Jakim sposobem zaspokoić ciekawość palącą go? Podniósł kieliszek, aby nim o kieliszek pana de Somery uderzyć.

Somery zadrżał i nie podniósł kieliszka.

Abel gwałtownie postawił swój na stole.

— Panie — rzekł głosem stłumionym — czy zechcesz mi wytłumaczyć, dla czego nazwisko moje robi mnie nagle niegodnym przyjaźni, którąś ofiarował nieznajomemu?

Somery mruknął kilka słów uniewinnienia niezrozumiałego, które nic nie mówiło.

Abel mówił dalej, unosząc się gniewem, który miał lada chwila wybuchnąć.

— Czy przypadkiem postąpiłem sobie niehonorowo w czasie mojej nieobecności? czy to mój ojciec...

— O panie! — przerwał pan de Somery, bladnąc, głosem zbolałym.

— Panowie, panowie, bez tłumaczeń! — rzekł Juljusz Courberon, mięszając się jako pośrednik, widocznie, aby sprawę pogorszyć. — Żałować trzeba, że pan de Moranes nie przedstawił się sam, a dziwną jest rzeczą, że nazwisko pana de Somery jest mu obcem.

— Dla czego jest to dziwnem? — spytał dumnie Abel.

Courberon uśmiechnął się złośliwie.

Pan de Somery, który był powstał, uderzył go po ramieniu mocno, prawie niegrzecznie, a głosem wyższości, którą uzupełniała jego cała wyniosła postawa, rzekł:

— Milcz pan i wychodź!

Młody Courberon wyprostował się zgrzytając zębami:

— A jeżeli nie chcę milczeć i nie wyjdę.

Pan de Somery pochwycił go za rękę i popchnąwszy go odrzucił:

— Mówię panu, że milczeć będziesz. Zmuszę cię do milczenia i do wyjścia natychmiast.

Groźba była straszną. Courberon nie był tchórzem, ale nie był silnym. Pochwycił za róg stołu, aby stawić opór panu de Somery, który tracił zimną krew. Przerażenie i gniew straszliwy malowały się na jego twarzy. Przez zęby zaciśnięte, mruknął jakieś przekleństwo. Rozpaczliwa niemoc i zwierzęca dzikość, jakie wśród gwałtownego niebezpieczeństwa, zawładnąć mogą i najodważniejszymi, gdy chcą pokonać przeciwnika, miotały nim na przemian. Somesy pochwycił Courberona i chciał go wynieść z pokoju.

Abel przerażony tem zajściem wpadł pomiędzy nich, a chwytając ich ręce w swe palące dłonie, zawołał:

— Będziecie mówili obadwaj.

Pan de Somery nie opierał się Ablowi, zadrżał za dotknięciem jego ręki. Abel mówił dalej:

— Wytłumacz mi pan najprzód, co znaczy to dziwne wzruszenie, które za zniewagę uważam.

— Nie mogę tego wytłumaczyć — powiedział Somery ze smutkiem, lecz z godnością. — Zaręczam tylko, że pan fałszywie je sobie tłumaczysz.

— A pan wytłumacz mi, panie Courberon, czemu moja nieświadomość nazwiska pana de Somery tak bardzo cię zdziwiła.

— Ja mogę, ale nie chcę tego panu wytłumaczyć.

— Tego już nadto! — krzyknął Abel puszczając ich ręce. Uderzył gwałtownie nogą i wyprostował, jak gdyby chciał pozbyć się zawrotu głowy, który go nagle ogarnął. — Dacie mi obaj satysfakcję za tę podwójną niegrzeczność. Ponieważ panom znane moje nazwisko, więc karta niepotrzebna; czekam na waszych świadków.

— Panie de Moranes — rzekł Juliusz Courberon głosem syczącym, który był bronią dandysów prowincjonalnych — znasz pan adres domu Mourret-Courberon i Spółka. Kasa otwarta zwykle o dziesiątej, dla pana jutro już od ósmej będzie otwartą. Nie ubliżę ani memu, ani pańskiemu nazwisku, jak dziś miałem honor służyć panu naszym kredytem.

Abel zwrócił się do p. de Somery.

— A pan, panie?

P. de Somery założył ręce na piersiach i spoglądał smutnie.

— Czekam! — Abel powtórzył.

Nastało milczenie, które przerwał niegrzeczny głos Courberona.

— Pan Jan de Somery, nie może się bić z synem pana de Moranes.

P. de Somery wyciągnął z kieszeni kartę wizytową, z którą zbliżył się do Courberona.

— Czemużby pan nie miał bić się ze mną? — spytał Abel chwytając kartę.

Młody bankier zawahał się, ale błyszczące oczy pana de Somery korciły go: nie chciał usłuchać, ani ustąpić. Sądził, że przypadek posłuży mu dobrze, i że powinien zeń korzystać, aby mógł być później dumnym, że upokorzył jednego z najznakomitszej młodzieży boulońskiej. Z uśmiechem zatem dodał:

— Zapytaj pan ojca, a dowiesz się.

Na ten raz odgłos wymierzonego policzka zabrzmiał w powietrzu. Juljusz go otrzymał, a Abel nie miał czasu go dać. To Somery ukarał w ten sposób niepoprawnego pyszałka.

— Zabiję pana! — ryknął Courberon.

— Jeżeli ja nie zabiję was obu — rzekł Abel blady ze wzruszenia.

W tej chwili drzwi otworzono. Przyszli oznajmić panu de Moranes, że powóz nadjechał.

— Do jutra panowie! Zapytam mego ojca, dlaczego jego nazwisko przestrasza pana de Somery, i wzbudza litość w panu Courberon. Czegokolwiek się dowiem, czuję, że pomścić się będę musiał. Do jutra zatem panowie!

Wyszedł pospiesznie i biegł jak pijany, bolem, złością, a wreszcie rozmarzony winem, które pił na zadatek nowej przyjaźni.

Na placu Donau spotkał powóz jadący naprzeciw.

— Czemużeś się spóźnił? — zapytał opryskliwie stangreta.

— Nie moja w tem wina. Pan baron zapewniał, że na czas zdążę.

— Jednak oznaczyłem dokładnie godzinę nadejścia statku memu ojcu.

— Tak, ale pan baron sądził, że się pan omylił. Według jego obliczeń z powodu burzy i pełnego morza, statek powinien się był opóźnić przynajmniej o cztery godziny.

Ze słów woźnicy można było poznać, że w żaden sposób nie może przypuścić, aby taki uczony jak pan de Moranes mógł się mylić. Przypływ morza i parowiec myliły się, ale rozum pana de Moranes nigdy.

— Jedźmy — zawołał Abel jutro przyjedziesz po moje rzeczy.

Rzucił się do powozu i konie ruszyły klusem.

Ostatnie zajście uzupełniało wszystkie nieprzyjemności. Nie dosyć było nudów przeprawy, opóźnienia powozu, dwóch pojedynków jutrzejszych, trzeba jeszcze, aby w pierwszej chwili przybycia słyszał, że ojca jego uważano za uczonego dziwaka i że ten człowiek godzien szacunku był powodem owego wypadku tragicznego. Gdyby nie opóźnienie powozu, nie byłby się spotkał z panem de Somery, ani z głupim Courberonem. Ale czy miał żałować, że nielitościwa ręka przeznaczenia, odsłaniała mu zagadkę, tyczącą się honoru jego nazwiska? Ale w jaki sposób ów honor był zagrożony? Czy w czasie jego nieobecności zaszło coś takiego, przez co ucierpi jego synowskie lub braterskie przywiązanie? Powóz jechał pod górę. Abel niecierpliwił się tą powolną jazdą. Spuścił okno, aby wyłajać za to stangreta. Ale gdy szybę odemknął, zapomniał o łajaniu i zapytał gniewnie:

— Co tam słychać w domu?

Piotr, stary woźnica, był człowiekiem spokojnym, metodycznym. Zatrzymał konie, aby się wygodnie obrócić do pana.

— Jedź, jedź! — zawołał Abel niecierpliwie. — Popędzaj konie i mów co porabia ojciec.

— Pan wie dobrze, że pan baron nie ma czasu do chorowania. I niktby nie wiedział, gdyby zachorował.

— A Blanca?

— Panienka miewa się dosyć dobrze.

— Więc była chorą?

— To nie; była przedtem jeszcze smutniejszą, niż teraz, gdy powróciła z Boulogne.

— Więc jeździła do Boulogne?

— Więcej nawet, bo była tam przez niejaki czas. Dopiero od dwóch tygodni jest w domu.

— Czy ojciec był z nią?

— O nie; pan baron nie lubi zmiany. Panienka była z guwernantką, panną Dumesnil.

— Czy długo bawiły u wód morskich?

— Około sześciu tygodni.

— I nie słyszałeś o niczem?

— O czemże takiem?

Abel gniewał się sam na siebie, byłby chciał cofnąć swoje słowa.

— Dobrze, dobrze, zjechaliśmy z góry, popędzaj konie i jedź!

Zamknął okno i zsunął się w głąb powozu. Nie dowiedział się niczego, a zaniepokoił się bardziej tą rozmową. Czy Piotr, ów stary sługa, był dyskretniejszym od niego, czy ukrywał coś przed nim?

Jego siostra była smutną, ale w Boulogne smutek ów zmniejszył się, co było tego powodem?

Abel przypatrywał się przy świetle latarni karcie pana de Somery, jak gdyby była portretem, jak gdyby litery nazwiska: „Jan de Somery“ mogłyby mu powiedzieć coś, o czem ów poważny człowiek mówić nie chciał.

Żałował że odjechał, nie czekając wytłumaczenia. Miał chęć niewypowiedzianą powrócić do Boulogne, odszukać pana de Somery, albo Courberona, i groźbą skłonić ich do mówienia.

Czy ów wyniosły, przystojny pan de Somery, starał się o rękę Blanki de Moranes? Różnica wieku nie mogłaby być wielką przeszkodą, bo człowiek ów był jeszcze dziś pięknym, musiał mieć szczęście do kobiet, a lubił jeszcze uchodzić za młodego, skoro tak łatwo przyjaźń z młodymi zawierał.

Powtarzając sobie to wszystko, Abel nie mógł się jednak oprzeć sympatji, która go ciągnęła do tego człowieka. Niepodobnem było, aby ten człowiek poważny mógł odgrywać rolę głupiego, wzdychającego kochanka. To było doń niepodobnem.

A jednak widział Abel, że zapomniał o godności swej w gniewie, czemużby nie mógł zapomnieć i o godności moralnej? Czy było trudniej człowiekowi światowemu uwieść młodą dziewczynę bez matki, pod opieką niedołężnej guwernantki, lub dążyć do tego, niż iść na pięście z przeciwnikiem, który chciał zedrzeć zeń maskę?

Abel gubił się w przypuszczeniach. Skoro chciał o nich zapomnieć, przywoływał przeszłość na pamięć

i wspominał młodość swoją. Ale spostrzegł, że i te obrazy pocieszyć go nie mogły.

Powracał do domu rodzinnego jako obcy. Siostry prawie nie znał, a ojca bał się zawsze, zanim go zaczął podziwiać.

Nagle zazdrościć począł owym dzieciom szczęśliwym, które powracają do ciepłego ogniska rodzicielskiego, które chociaż łają często, ale je przycisną serdecznie do serca gdy im przebaczą. Na niego czekał rektor uniwersytetu, ale nie ojciec czuły. Pochwalą jego studja, jeżeli nie ulegną pewnej krytyce, wezmą go na egzamin, a pocałunek ojcowski, którego nie był pewien, będzie niejako pozdrowieniem mędrca dla uczonego.

Tak! życie biednej siostry musiało być smutnem w tym pałacu samotnym, ocienionym owym cieniem bulońskim.

Biedna siostrzyczka! Jeżeli przypadkiem nieco nierozważnie bawiła się u wód morskich i pozbyła się owej melancholji, jaka otaczała ją od dzieciństwa, czyż winną była?

Z jakąż pobłażliwością wysłucha zwierzeń kochanej siostrzyczki! Zawsze tęsknił do niej. Jakże ją kochać będzie tę młodą Blankę! Czy zawsze ma włosy tak jasne? To co Piotr o jej smutku mówił, może więcej do zdrowia jej się odnosi. Była zawsze bardzo delikatną, biedna sierota więcej czuła swoje opuszczenie, wśród owej ponurej atmosfery pałacu, niż stratę matki, która umarła przed dwunastu laty. Musi być bardzo ładną, a zwłaszcza z tym smutkiem, ożywiona ową radością przywiezioną z Boulogne.

Teraz Abel zabroni jej płakać i smucić się. On sam płakał w tej chwili. Owo pragnienie przytulenia do serca ukochanych i obawa skryta, że będzie musiał być ich sędzią, poruszała w nim fibry czułości dziecinnej, którą zawsze zachował, chociaż tak rychło został dojrzałym człowiekiem wśród gwaru obcych ludzi.

Abel ma lat dwadzieścia dwa. Dziwnem zrządzeniem losu i systemem wychowania, prawie nie był w domu rodzicielskim. Pamiętał cokolwiek matkę, którą widywał w czasie wakacji, a która umarła, gdy w Anglji kończył nauki, rozpoczęte w Paryżu. Ale nie przypominał sobie słodyczy pocałunków macierzyńskich, tak jak nie pamiętał próżni, którą ta śmierć sprawiła. Urodził się sierotą!

Pan de Moranes, dawny uczeń akademji paryskiej, uczony szlachcic, sławny filolog, wszczepił od pierwszej młodości zamiłowanie nauki w synie swoim. Pewnego dnia wytłumaczył mu, że honor ich nazwiska zależy do rozwiązania problematu, postawionego Europie przez starożytności meksykańskie. Niemcy szydzili z odkryć księcia Domanecha i utrzymywali, że ten uczony wziął bargraninę ulicznika z czasów Montezumy za manuskrypt hieroglificzny.

Pan de Moranes wysłał syna do Męksyku, jak gdyby go posyłał do biblioteki sąsiedniej. Oddał mu notatki tyczące się pomników starożytnych Asteków, z zachętą, aby je uzupełnił, i przez trzy miesiące przygotowywał go do tej ekspedycji uczonej.

Trzy miesiące pracy urozmaiconej kilku wycieczkami w okolice, to wspomnienie, które ów młodzieniec dwudziestoletni wywiózł z domu ojcowskiego. W czasie tym siostrze nie było wolno przerywać jego studjów, ani poważnych rozmów z ojcem, a jego wyśmiewano, gdy chciał się bawić z młodą dziewczynką.

Można powiedzieć, że pan de Moranes chciał przygłuszyć w nim uczucie naturalne. Zanurzał go w Styksie, który z kałamarza płynął. Jednak Abel, chociaż poddawał się naiwnie i dumnie tej kąpieli, zachował całą krewkość swojego serca.

Gdy mu się horyzont Ameryki roztworzył, rzucił się cały do odkryć, spragniony wiedzy, palony gorączką nauki, jak inni paleni byli słońcem Inkasów. Pożegnał dom rodzicielski bez jednej łzy tęsknoty.

Oddalenie, osamotnienie, sprowadziły ową tęsknotę.

Powracał chciwy miłości. Chciał kochać ojca, którego bał się dotychczas, kochać siostrę, która musiała być pełną słodyczy i ładną, kochać wszystkich. Chciał zacząć od Boulogne. Pierwsza próba była nieszczęśliwą. Musiał się zemścić za ową tajemnicę, którą go zaniepokoił pan Courberon.

Tajemnica! Abel znużył się badaniem tajemnic nauki, teraz natrafił na najboleśniejszą. Ulegał wśród tej nocy ciemnej i słotnej dreszczom, które go nieraz napadały wśród badań zawiłych.

Już dzieckiem będąc, uważał, że dom ojcowski jest odmienny od innych domów rodzinnych. Było to kolegjum bez towarzyszy, tylko dyrektor i uczeń jeden. Wreszcie wysłano go do Paryża, potem do Eton. W Anglji dowiedział się o śmierci matki, o przeniesieniu się ojca w inną okolicę, o oddaniu siedmioletniej siostry do klasztoru, zkąd powróciła po trzech miesiącach do domu ponurego, pod opieką starej panny, która urodziła się starą i miała żyć długo, bo już się więcej zestarzeć nie mogła. Abel pojechał dzieckiem, powracał człowiekiem dojrzałym. Szukał i znalazł wiele, a rozwiązał niejedno i to dodawało mu odwagi, że śmiało teraz o nie jedno zapytać może ojca. Ale ta odwaga ściskała mu serce i napełniała je smutnem przeczuciem.

Jechał w nocy i w ciemności, a deszcz uderzający o szyby powozu, był symbolem łez, które dławiły go od Boulogne i przepełniały serce goryczą.

III.

Pałac barona de Moranes był smutny, bo był z woli właściciela bardzo zaniedbany.

Odnowiony w wieku XVIII. miał być według podania rezydencją Eustachego de Boulogne, ojca Godfryda de Bouillon. Można go było jak najwygodniej i z największą elegancją wewnątrz urządzić; a ogród nazwany parkiem był rozległy i nadawał się do wszelkich możliwych kombinacji ogrodnictwa postępowego.

Lecz pan de Moranes skoro doń wniósł swoje stare szpargały, swoje zbiory i swój kwaśny humor, zamienił

prędko ów ładny pałacyk na mieszkanie ponure, które pustka mniej byłaby zepsuła, niż ów właściciel uczony.

Rzadko wychodząc ze swej biblioteki, przypomniał sobie w pierwszy dzień po wprowadzeniu się, że salon został bogato umeblowany dwadzieścia pięć lat temu z okazji ślubu; nie pomyślał też nigdy, że trzeba odnowić meble lub obicia. Cenił botanikę, ale utrzymywał, że hodowanie kwiatów li dla ozdoby ogrodu jest rozrzutnością niepotrzebną. Gęste szpalery z grabiny, kilka kwater z geranium i trawniki dające dobre siano — oto była dyspozycja dana ogrodnikowi.

Pałac miał zatem meble wyblakłe, więcej prawie z zaniedbania, niż przez użycie. Okna i dzwi otwierały się skrzypiąc, a gdy słońce doń zajrzało, to śmiało się ironicznie ze wszystkich dziur i plam, które oświetlało, bo żadna zasłona, ani żaden stoliczek z kwiatami nie broniły mu wejścia. Zaledwie można było odgadnąć obecność młodej panienki w tym domu opuszczonym, po kilku zagonkach zasadzonych kwiatkami lękliwie i dziecinnie przed oknami salonu, i po urządzeniu cokolwiek staranniejszem pokoiku, w którym zwykle panna Moranes przebywała ze swoją guwernantką.

Blanka byłaby wystarczyła za kwiatek do owego ponurego, i za ozdobę do tych wyblakłych salonów, gdyby sama nie była zbladła, i nie była popadła w melancholją, w której młodość i piękność jej więdła jak kwiatek bez słońca.

Posiadała wszystkie warunki piękności prócz owego błysku i owego uśmiechu, które są największą ozdobą. Główka jej zdawała się małą, tak jej ciężyły obfite włosy popielato-blond, i tak ją pochylały na słabą i białą szyjkę, za delikatną, by unieść ten ciężar. Jej oczy niebieskie spoglądały lękliwie, szczególniej gdy się zamyśliła, i chciała coś odgadnąć, wtenczas przebijał się w nich wyraz cierpienia, który je zaciemniał. Usta ładne, ale zaledwie zarumienione, drżały przy najmniejszem wysileniu myśli. Figura była wysmukła, wystrzeliła jednak za prędko jak kwiatek rosnący w cieniu. Blance brakło widocznie słońca do rozkwitnięcia, bo to, na które smutnie spoglądała, przechadzając się po alejach ogrodowych, nie wystarczało jej wcale.

Gdyby zdrowie lub szczęście zatrzymało się chwilkę na tej wybujałej roślince, gdyby promienny powiew rozwiał jej choć raz owe gęste włoski plecione z rezygnacją, gdyby policzki pozbyły się owej matowej bladości, a zachowały dłużej ów przelotny rumieniec, ukazujący się na nich tak łatwo; gdyby owe zaledwie zarysowane piersi zamiast westchnienia tęsknego, które je uciskało, odetchnąć choć raz mogły radością i nadzieją, gdyby choć raz była swobodną, a serce zabiło weselem — zobaczylibyśmy ową piękność jutrzenki, kąpiącej się w rosie i owianej mgłą, w całej jej świetności, jak słońce gorącego południa.

Ale czy ukaże się kiedy to słońce i czy nie ukaże za późno, by swym promieniem gorącym nie zabić owego kwiatka przemarzniętego, tak blizkiego śmierci, a trudnego do życia?

Blanka męczyła się więcej z powodu jakiegoś zmartwienia, niż z nudów. Coś niebezpieczniejszego niż choroba, uciskało ją, i nie dozwalało być piękną, ale to było tajemnicą dla wszystkich.

Pan de Moranes, przestrzeżony kilkakrotnie przez pannę Dumesnil, sprowadzał doktora za doktorem, kazał badać córkę, a uspokojony, że piersi Blanki są zdrowe, zostawił czasowi uzdrowienie i wzmocnienie.

Logika uczonego, zaślepiała troskliwość ojcowską. Kilka miesięcy przed rozpoczęciem naszego opowiadania, doktór znowu zawezwany powiedział do archeologa:

— Strzeż się pan! choroba może się rozwinąć niebezpiecznie. Smutek ciągły zabija. Serce bije nierówno, siły nikną; czuwaj pan nad nią.

Wtenczas to wysłał pan de Moranes za poradą lekarza Blankę do Boulogne, do wód morskich, przekonany, że kąpiele pokonają anemją, a muzyka kasyna rozpędzi smutek.

Blanka powróciła weselsza, choć nie uleczona. Serce biło zawsze tak dziwnie; ale chora walczyła i opierała się tej melancholji, a chwilami ożywiała się, jak gdyby chciała wyrwać się z uspienia, z niemocy, przygniatającej ją do ziemi.

Jakąż to tajemnicę mogło mieć to dziewcze dziewiętnastoletnie, wyrosłe w cieniu dachu ojcowskiego, cierpiące li z powodu ciszy, które jednak drżało z bojaźni, niby przed wyrzutem sumienia?

Blanka oczekiwała niecierpliwie brata. Znała go tak mało, jak i on ją, ale liczyła na to, że ta spójnia doda jej odwagi, która jej była potrzebną do życia. Obawiała się śmierci i niechętnie też oddawała się tęsknocie.

Z Boulogne powróciła z taką chęcią do życia, że to ją przestraszało, jak gdyby to był występek, że zapragnęła szczęścia.

W tym samym czasie, gdy Abel na statku złorzeczył słocie, Blanka w saloniku, o którym już wspomniałem, spoglądała smutnie na deszcz chłoszczący szyby.

Salonik ten wychodził na peron pałacowy, i na dziedziniec oddzielający zabudowania mieszkalne od ogrodu.

Pan de Moranes miał swoją bibliotekę po drugiej stronie na dole, na końcu tego samego skrzydła. Salon wielki, nie miły do rozmowy, pokój jadalny smutny i pusty, tudzież sień duża, przedzielały ojca od córki.

Gdy Blanka kazała przynosić lampę przyćmioną różową ombrelką, skoro zmrok zapadał, takaż lampa, z zieloną osłoną zapalała się w bibliotece. Wtenczas pałac patrzał dwoma oczami na szerokiem czole, jednem różowem, drugiem zielonem. Ale oko różowe gasło wcześniej, podczas gdy owo drugie nie gasło czasem wcale przez noc całą, jak oko cyklopa, nad pracą jakiego olbrzyma.

Często nawet pan de Moranes, posługujący sobie sam i nie chcąc czekać na światło, ani wołać służącego, rozpoczynał pracę wcześniej i nie czekał zmroku, który dla Blanki był gościem pożądanym; wtenczas bowiem spowiadała się w ciemności z westchnień swych i marzeń. Pan de Moranes nie marzył nigdy, a przynajmniej sądził że nie marzy.

Panna Dumesnil korzystała z tej chwili zmroku aby odetchnąć. Nie marzyła jednak i nie pracowała, nie była czynną i za dnia białego. Ale teraz prostowała swoje stare członki, które trzeszczały, ziewała serdecznie i odpoczywała po czytaniu, aby znów zacząć gdy lampę przyniosą.

Panna Dumesnil była osobą poczciwą, wykształconą o tyle, o ile to jest konieczne do złożenia egzaminu na nauczycielkę, tępego pojęcia, nosząca swoją mądrość uklasyfikowaną w głowie, którą dopiero wtedy wydobywała, gdy trzeba było odpowiedzieć na jakie zapytanie. Nie siliła się nigdy, aby jej dla siebie użyć, nieomylna co do dat, recytująca na pamięć szereg królów Francji jak różaniec, dumna i skromna zarazem, to jest gardząca głupcem, a chyląca głowę przed uczonym; trzymała się prosto, gładząc czoło, fałdy sukni i słówka dobierając. Było to drzewo chronologiczne, synoptyczne, heraldyczne, ogołocone z liści, które zachowało na swoim pniu spróchniałym jedno wspomnienie, czy życzenie sentymentalne, na które ta skromność omszała pozwalała, bo nie zakłócało jej spokoju.

Ponieważ zawsze siedziała w książkach, panna Dumesnil przeszła od dzieł klasycznych do romansów. Gramatyka i historja były romansami jej młodości. Teraz odmładzała się czytając sumiennie romanse, aby się nauczyć gramatyki namiętności i historji słabości, do których niestety! była niezdolną i od nich zabezpieczoną.

Robota ręczna była jej wstrętną. Uczyła jej, jak uczyła innych rzeczy. Jeszcze dzisiaj radziła Blance, jaki deseń do haftu, lub kolor włóczki ma dobrać, ale po owej chwili poświęconej tak pospolitemu zajęciu, powracała do przerwanego romansu i czytała, czytała tak jak inne stare panny robią pończochę z głową podniesioną, bez okularów, zaledwie spoglądając na książkę rozłożoną na kolanach, przytrzymując ją delikatnie ręką odzianą w rękawiczkę, na dowód większej wyższości umysłowej. Sprowadzała całe paki książek z Boulogne. Czytała wszystko nie przebierając; wszystko było czystem, dla tej ukonstytuowanej niewinności; mniej tylko rozumiała romanse naturalistów od innych, bo wierzyła na słowo nie będąc popsutą.

Okropnie się obawiała, że niezadługo wyczerpnie bibliotekę w Boulogne. Obliczała tak samo, jak owi spekulanci angielscy handlujący węglem obliczają czas, w którym kopalniom zabraknie materjału.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Między siedemnastym a dwudziestym rokiem.

NOWELLA.

(Ciąg dalszy).

Wróciłam z wujenką. Służący wniósł na tacy butelki z winem i kieliszki inne. Wuj ponalewał, a podnosząc w górę swój kieliszek:

— Kochana żono, i wy panienki — przemówił — wypijcie wraz ze mną zdrowie pana inżyniera, który przyjechał tu dzisiaj, aby...

Nagły kaszel napadł wuja, a mnie serce prawie bić ustało, w oczekiwaniu końca przemowy.

— Aby — wuj po chwili mówił dalej — zaprosić nas na bal, który dla was specjalnie urządza, w sali dworca, właśnie co skończonego. Winnyście szczerą wdzięczność panu Kwiatkowskiemu, za tyle trudu, który podejmuje, by wam sprawić przyjemność. Ty Róziu, jak słyszę, wczoraj już przyrzekłaś twoją bytność na owym balu — wuj uśmiechnął się złośliwie pod wąsem. — Chodziło jedynie o nasze przyzwolenie. Otóż ja i wujanka chętnie również przyjmujemy zaprosiny naszego grzecznego gospodarza. Twoje zdrowie panie Zdzisławie! — I trącił się z nim kieliszkiem.

Spadłam z siódmego nieba! Żeby nie strach przed wujostwem, byłabym tak chętnie: *nie* powiedziała. Więc nie myślał się oświadczać, tylko po prostu na bal zapraszał.

Niegodziwy człowiek! Tak mnie niegodnie oszukać, i pozbawić przyjemności, udzielenia mu kosza solennego, gdy ja już po temu, tak piękne frazesa, w mojej siedemnastoletniej główce ułożyłam. Było to nowym w moich oczach wykroczeniem, przeciw wszelkim względom należącym się damie.

Uderzyć z nim kieliszkiem? Przenigdy! Zdaleka, zimno mu się skłoniwszy, w mojej złości, tak szybko kieliszek wychyliłam, że część wina zaszła do rurki oddechowej, z czego rozkaszlałam się najokropniej, i uciekłam do mojego pokoju, gdzie długo, długo, opamiętać się nie mogłam.

Tak pragnęłam spokoju, po nocy bezsennej, i tylu, tylu przeżytych wrażeniach. Nielitościwa Basia jednak znowu wpadła, by mnię dręczyć dalej.

— Cóż to się wszystko znaczy? — zagadała już od progu. — Czyż się poróżniłaś z twoim wiernym Adonisem? Czemuś nie chciała trącić się z nim kieliszkiem, czemuś uciekła, i teraz nie wracasz? I to

właśnie w chwili, gdy ten człowiek spełnia czyn wielki, szlachetny, daje dla nas bal, na którym zabawimy się paradnie! Wiesz! będą nawet ułani z miasta S. Toż to zabawa nie na żarty! W moich oczach urósł o całą głowę. Kto ma tak genjalne pomysły, wart uwielbienia choćby nawet jego wielkie palce u nóg, zamiast patrzeć każdy w inną stronę, dawały sobie buzi czasami, a w walcu i mazurze mijał się z taktem. Co znaczą małe przywary, obok tak wielkich duszy przymiotów. Jest nawet bardzo przystojny, oczy ma tak piękne, szczególnie gdy się w ciebie wpatruje, że nie dziwię się wcale twojej dla niego namiętności, i odtąd nigdy cię z tego powodu wyśmiewać nie będę.

— Zupełnie nie rozumiem o jakiej mówisz namiętności? — pogardliwie usta wydęłam.

— Ależ o twojej gorącej miłości dla pana Zdzisława Kwiatkowskiego.

— Ha! ha! ha! — wybuchłam śmiechem ironicznym. — Tobie zawsze Basiu jakieś niestworzone rzeczy roją się po głowie. Ja w nim zakochana. Nie znam figury głupszej i nieznośniejszej, niż ten cały pan Kwiatkowski.

— Oj! dziewczyno, dziewczyno! — Basia z naganą się odezwała — toż to tobie pstro w głowie! Wczoraj jeszcze po uszy zakochana, a dziś sama siebie się zapiera. Dlaczego? Że pan Kwiatkowski je i pije trochę za wiele, że nóg nie trzyma w trzeciej pozycji, i że w takt nie tańczy. Jakaś ty dziecinna, jaka lekkomyślna! — głową potrząsła.

— Nie było mi dokuczać, nie było na nim ostrzyć twego szatańskiego języka? — płaczem wybuchnęłam — przestałam go kochać i rzecz skończona!

— Taka to była i miłość — mruknęła Basia, a ja tracąc resztę cierpliwości, trzasnęłam drzwiami i wyszłam z pokoju.

Nadszedł dzień balu.

Dla młodej panienki, namiętnie taniec lubiącej, bal ma zawsze urok niepospolity, czy serce jej próżne, czy zajęte. Zresztą, skoro jedne płomienie zagasły, może serce podczas balu dla innego przedmiotu miłością nową się ożywić. Czyż to Kwiatkowski jeden na świecie?

Z wielką też uciechą na bal jechałam. P. Kwiatkowski, jeden z głównych balu gospodarzy, podał nam oba ramiona i razem mnie i Basię do sali wprowadził. Była rzęsiście oświetlona i pięknie zieloną choinką, tudzież festonami z muszlinu białego i różowego udekorowana. Następnie zaprosiwszy Basię do pierwszego walca, a mnie tym razem do pierwszego kadryla, opuścił nas, by uczynić zadość i innym gościom, jako prawdziwie grzeczny gospodarz, który nikogo nie pomija.

Wszystko mnie gniewało. I to że mnie razem z Basią wprowadził i że pierwszego walca, którego zawsze dotąd ze mną tańczył, śmiał oddać innej. Ja go wprawdzie już nie kocham, i wszelkie zabiegi, by miłość moją odzyskać na nic by mu się nie przydały; lecz on dla tego nie powinien w nich ustawać, tylko tem gorliwiej, starać się o moje łaski, im ja mu mniej tychże raczę udzielać.

Bardzo to nieładnie z naszej strony, nawet niegodziwie; uderzmy się jednak ze skruchą w piersi, moje panienki, i przyznajmy, czy nie myślimy i nie postępujemy częstokroć w ten sposób?

Nie dbamy, odtrącamy oziębłością naszych adoratorów, a skoro spostrzeżemy, że jakoś lekko brzemię naszej niełaski unoszą na ramionach, wpadamy w gniew okrutny, deklamując o zmienności i niestałości rodu mężkiego. Jak starożytni Rzymu bohaterowie, radebyśmy do naszego zwycięzkiego rydwanu przykuć tych niewolników jęczących i wzdychających, by świadczyli o naszych podbojach

Niegodna to chętka serca prowdziwie szlachetnego; i tylko bardzo młodej i niedoświadczonej panience, można darować coś podobnego.

Otóż rozgniewana, gdy ze wszystkich stron mnie otoczono, szturmem prawie tańce zdobywając, gdyż tym razem, co się rzadko zdarza na prowincji, wielka była przewyżka młodzieży płci mężkiej; dobrze pamiętając że mnie do pierwszego kadryla pan Kwiatkowski zamówił, przyrzekłam tegoż kadryla chwackiemu i przystojnemu porucznikowi C., który, jak się spodziewano, z innymi jeszcze kolegami od ułanów, z miasta S., na ten bal przybył. Poprzednio, z tym samym porucznikiem, sławnym danserem, walca odtańczyłam.

Gdy muzyka jak zwykle pierwsze takty kadryla odegrała, a porucznik ramię mi podawszy do ronda prowadził, muszę przyznać, że mi serce biło gwałtownie. W tem słyszę obok siebie cokolwiek głos pana Kwiatkowskiego drżący „Panno Różo, wszak ja panią prosiłem o tego kadryla“.

— Nic o tem nie wiem — odpowiadam miną nadrabiając, lecz czuję, że mnie krew oblewa, i nogi się podemną uginają.

— Poproszę o świadectwo panny Barbary, która słyszała jak panią angażowałem.

Sytuacja staje się coraz drażliwszą. Porucznik pokręca wąsa wyzywająco, pan Kwiatkowski marszczy brwi groźnie; żaden z nich nie rusza się z miejsca.

Na szczęście, spostrzega to wujenka, i jej sąd Salomonowy spór rozstrzyga.

— Skoro narobiła takiego bałamuctwa, — mówi łagodnie, lecz stanowczo — Rózia tego kadryla wcale tańczyć nie będzie. A panów przepraszam serdecznie w jej imieniu. Raczcie uwzględnić, że jest jeszcze b a r d z o m ł o d ą, i że to jej pierwszy bal.

To wypowiedziawszy z naciskiem, bez ceremonji wyprowadza mnie z koła i sadza koło siebie.

Zamiast być wdzięczną nieoszacowanej wujence, za jej tak potrzebną interwencją i naprawienie o ile się dało, mojej niegrzeczności, mogącej mieć skutki bardzo fatalne, a nawet do pojedynku dwóch panów doprowadzić, byłam zła do wściekłości. Nie mogąc kąsać kogo innego, gryzłam do krwi usta własne. Łzy mnie dusiły. Ten niegodziwiec! popsuł mi dzień moich urodzin, psuje i bal dzisiejszy! Chciałabym była zmienić oczy moje w sztylety, by go zabić na miejscu. Lecz

on wcale się nie spieszył, by zetknąć się z moim wzrokiem. Gdzieś przepadł na cały wieczór. Tańczyłam jeszcze później, będąc do wszystkich tańców zamówioną, ale jak ciało bez duszy. Nic mi już przyjemności nie robiło. Wreszcie podczas dłuższej pauzy przed kolacją, zjawił się pan Kwiatkowski, a siadając przy mnie:

— Panno Różo — zapytał. — Czyś istotnie zapomniała o kadrylu, czy też zrobiłaś to umyślnie?

Posiadałam wad wiele, lecz przynajmniej kłamać nie umiałam. Zarumieniona nie znalazłam odpowiedzi.

— Milczysz pani... a więc chciałaś mnie dotknąć... zranić tak boleśnie! I za co? Żem panią ukochał tak gorąco, żem widział w tobie urzeczywistnienie moich snów młodocianych, anioła, który miał mi szczęście zapewnić; że niosłem ci w ofierze moje serce w czystej chęci, nazwania cię moją żoną, i opromienienia twego życia, wszystkiem, na co może się tylko zdobyć mąż szczerze przywiązany. O! srogoś się ze mną obeszła! nie mniej jednak winienem pani wdzięczność! — piękne jego oczy łzami lśniące wpatrzyły się we mnie tak przenikliwie i z takim ciężkim wyrzutem, że wiecznie potem ten wzrok, jak widmo złowrogie, na siebie zwrócone widziałam. — Ostrzegłaś mnie jeszcze dość wcześnie, że nie jesteś tym ideałem, o którym marzyłem; tem dzieckiem słodkiem i dobrem, naiwnem i wierzącem, które w tobie pani widzieć chciałem. Gdyby rozczarowanie było później nastąpiło, mogło mi zatruć życie całe... Teraz jeszcze czas przeboleć tę stratę i ranę w sercu starać się zagoić. Żegnam panią.

— Panie! — krzyknęłam oburzona, chciałam energiczną dać odpowiedź, na tę impertynencką lekcję, którą pozwolił sobie dać mi ten gbur nieokrzesany — jak jeszcze ciągle w duchu powtarzałam — lecz on był już daleko.

Odtąd, jakbym się stała dla niego niewidzialną, ani się nie zbliżył, ani słowa nie przemówił, ani okiem na mnie, chociażby przelotnie, nie rzucił. Tańczył wiele, z innemi pannami śmiał się i żartował; był jednak bardzo blady, i od czasu do czasu czoło drżącą dłonią pocierał, jakby chciał z niego spędzić myśli ciężkie i trujące.

Rzecz szczególna, im mniej on zwracał na mnie uwagi, tem mi się zaczynał lepiej podobać; i w dawnem korzystnem świetle przedstawiać.

Nogi nawet trzymał jakoś lepiej, i zauważyłam, że jak na mężczyznę, są bardzo małe; w ruchach jego było wiele godności; przy kolacji jadł nie wiele, a nie pił nic wcale; oczy zaś, przed chwilą we mnie z takim bolem utkwione, były tak piękne, tak wyraziste!

Moje lepsze „*Ja*“ szeptało mi do ucha „pójdź, przeproś go, a jeszcze wszystko da się naprawić. Tak go ciężko obraziłaś, a on tak cię szczerze kochał“. Ale duma siedemnastoletnej gąski wstrzymywała te szlachetniejsze popędy.

— Co, jabym go miała przepraszać, tego impertynenta, który śmiał mi dawać nauki; z łaski którego wujenka skompromitowała mnie przed całem towarzystwem, jak jakiego dzieciucha, i kadryla przez niego musiałam w kącie przesiedzieć? Nie, nigdy tak się nie upokorzę!

Wszystko kiedyś skończyć się musi, więc i ów bal nieszczęsny dobiegł do końca. Wsiedliśmy do powozu, a gdy jeszcze wuj i wujenka obsypali mnie wymówkami, jak mogłam popełnić coś podobnego, i to względem człowieka tak grzecznego, któremu całe uznanie od nas się należało, rozszlochałam się na piękne. Zajechaliśmy do domu, a ja ciągle jak jaka fontanna nieustająca, łez potoki wylewałam.

Basia, która, jak już wspominałam, przy całej niepowściągliwości języczka, miała serce jak najlepsze, słysząc przez ścianę łkania bolesne, przyszła by mnie pocieszyć i uspokoić.

— Czegoż bo znowu tak szlochasz — perswadowała. — Że cię trochę moi rodzice połajali? Toć mieli słuszność zupełną. Można przestać się w kimś kochać, nie widzieć w nim więcej swojego ideału; nie upoważnia to nas jednak do niegrzeczności, jakąś ty popełniła, i to na balu, który on poczciwiec, z takim trudem i mozołą dla nas umyślnie urządził. Przyznaj sama, że to się przecież nie godziło!

— Tyś wszystkiemu winna, ty, ty! — wołałam ręce rozpaczliwie załamując. — Przez ciebie jestem najnieszczęśliwszą istotą! On mną teraz pogardza, sam mi to powiedział. A wszystkiego twoje niewczesne żarty narobiły!

— Żałuję szczerze — Basia z cicha odrzekła — pozwól sobie jednak powiedzieć, że gdybym ja kogo pokochała, nie byłoby siły ziemskiej, ani niebieskiej, któraby potrafiła obrzydzić mi przedmiot mojej miłości. Skoro go jednak żałujesz, pomogę ci złe naprawić. Ja zacznę, a ty skończysz, mówiąc mu kilka czulszych słówek, i ręczę że wróci do ciebie, więcej niż kiedykolwiek zakochany.

— Za późno, za późno! — na nowo załkałam. — Oboje inaczej widzimy, i inaczej czujemy. Miłość łatwo zabić, lecz wskrzesić już jej nikt nie potrafi!

— A więc uspokój się dziecię — prosiła mnie czule — wezwij Boga na pomoc, by cię natchnął w tem wielkiem umartwieniu, i zaspij szczęśliwie tę smutną sprawę.

Ucałowała mnie serdecznie i wyszła z pokoju.

Łatwo jej było powiedzieć „spij“, ale trudno to zasnąć z sumieniem nieczystem, a moje mnie tyle grzechów wyrzucało.

Po moich urodzinach czułam się również nieszczęśliwą, ale wówczas nie ciężył jeszcze na mnie ów wzrok łzawy, pełen bolesnych wymówek. Teraz zdawało mi się, żem się Bóg wie jak postarzała, tak się uginałam pod ciężarem słów jego ostrych, ale sprawiedliwych.

W kilka dni później, gdy różnemi sofizmatami potrafiłam uspić drażliwość sumienia, a nawet gotową byłam uwierzyć, że pan Kwiatkowski w tej całej sprawie winniejszy niż ja, siedziałyśmy z robotą na werandzie przed domem, gdy w tem zaturkotało, i

ujrzałyśmy z daleka pana Kwiatkowskiego, który w powozie zajeżdżał.

Zerwałam się, by uciec w głąb ogrodu, Basia mnie jednak gwałtem za rękę przytrzymała.

— Nie bądźże wiecznie dzieciakiem rozkapryszonem — prędko zagadała. — Czyż chcesz dodać nową niegrzeczność, do dawnej? Nie bój się. Kwiatkowski przecież nie kąsa. Jakaś ty dziwna, doprawdy!

Zostałam. Wszedł, Basię serdecznie za rękę uścisnął, mnie z daleka oddał ukłon ceremonialny. Zaczął z Basią rozmowę lekką, swobodną; ile razy atoli ja się do rozmowy wmieszałam, nie przerywał, lecz nigdy do mnie słów swoich nie zwrócił.

Basia chciała pójść po rodziców. Wyręczyłam ją, gdyż siedziałam jak na szpilkach. Najchętniej nie byłabym więcej wróciła do towarzystwa, lecz wujenka stanowczo tego żądała.

Pan Kwiatkowski przyjechał podziękować wujostwu — jak mówił — za zaszczyt mu wyświadczony, i pojawienie się na balu — „któregoś pani była najpiękniejszą ozdobą“ — zwrócił się do Basi — a przytem chciał ich pożegnać, gdyż jutro do dnia, o kilkadziesiąt mil ztąd go przenoszono.

Zaproszenia na obiad nie przyjął, tłumacząc się brakiem czasu przed odjazdem. Pogawędziwszy z wujostwem chwil kilka, wypił jeszcze za ich zdrowie i pomyślność wina kieliszek, podziękował w serdecznych słowach, za gościnność iście staropolską, której w ich domu doświadczył, Basi na pożegnanie znowu rączkę czule uścisnął, mówiąc, iż jej osoba, wszystkich na balu oczarowała, grzecznością i swobodą w obejściu — przedemną zimno się skłonił, jak przy wejściu, ani nie spojrzał, ani słowa nie przemówił by mnie pożegnać!

Do głębi uczułam to jego postępowanie. Skwitowaliśmy się mój panie — mówiłam w duchu — jeżeli byłam niegrzeczną, tyś mi to oddał z procentem — z lichwą ogromną! Gbur, niegodziwiec! — powtarzałam trzęsąc się od gniewu tłumionego; nie mniej atoli o nim myślałam.

Odjechał daleko, słych o nim zaginął; a ja nie przyznając się do tego nikomu, nie mogłam na chwilę jedną o nim zapomnieć.

Starałam się przywodzić na pamięć jego niezgrabność, gburowatość, wstrętną żarłoczność, nogi wygięte jak kabłąki; tymczasem wcale inne obrazy snuły się przed moją pamięcią; jego uśmiech pełen dobroci i słodyczy; oczy tak na mnie czule, tak poczciwie patrzące... tak, tak, straciłam na zawsze serce szczerze do mnie przywiązane, jakiego drugiego nie znajdę może w życiu... a przez co?... przez głupią dumę i zarozumiałość, przez dziecinne przywiązanie do pozorów, do fraszek, które są niczem, w porównaniu z przymiotami istotnemi, serca szlachetnego, charakteru zacnego i prawego.

Bolesne sobie nieraz wyrzuty robiłam. Za późno niestety, za późno!

Żal mój niewczesny, miał przynajmniej tę dobrą stronę; iż otworzył mi oczy na niejedną z wad moich, z których starałam się szczerze poprawić, i własną pracą wyrwać je z serca i umysłu, jako chwast niepożyteczny.

Ostatnie słowa pana Kwiatkowskiego, inaczej teraz brzmiały w sercu mojem. Czułam, żem na nie w zupełności zasłużyła. Im dłużej go nie widziałam, tem postać jego wyraziściej stawała przedemną, pełna dawnego uroku, jaśniejąca prawdą i męzką godnością.

W trzy lata później.

Dużo wody upłynęło — jak to mówią — od czasu jak pan Kwiatkowski nasze strony porzucił.

Inżynierowie, ni to ptaki przelotne, mieniali się na naszej stacji. Wielu z nich hołdy u nóg moich składało, ja nawzajem tańczyłam z nimi do upadłego, bawiłam się doskonale; lecz nauczona smutnem doświadczeniem, najprzód badałam, ile który je i pije, w jakiej pozycji nogi stawia, i czy umie w takt tańczyć. Najlepszy dowód, że choć czasem, na jakim balu, główka się chwilowo rozmarzyła, serce w tem żadnego udziału nie brało.

Jeden z nich, inżynier S., na serjo mi zaczął asystować. Był to młodzieniec skończenie piękny, przytem prawdziwy salonowiec, król szyku i mody. Jakaż to była jednak różnica między nim, a panem Kwiatkowskim. Zarozumiały, w sobie zakochany, wiecznie w zwierciedle jak drugi N a r c y z zapatrzony; zdawał się dziwić, że mu dotąd za życia ludzie ołtarzów nie stawiają. Na każdym kroku dawał mi uczuć, jak wielką łaskę mi robi, że się raczy mną zajmować; ja natomiast śmiałam się serdecznie i drwiłam w oczy, z jego słabostek, nie potrzebując w tem nawet Basi pomocy.

Trzeba przyznać, że po tej pierwszej niefortunnej próbie, Basia więcej nie ostrzyła sobie języczka na moich adoratorach, i nigdy mnie żadnym nie prześladowała. Nawet gdy się o mnie oświadczył pan aptekarz, z miasteczka najbliższego, rudy i zyzowaty, żadnej mi złośliwej uwagi nie zrobiła. Sama jednak zauważyłam, że ponieważ mam zdrowie doskonałe, na co mi męża aptekarza, a iść za Z y z a, także nie mam ochoty. Najprzód dla staropolskiego przysłowia, które opiewa: „że łys, zyz, kuternoga, jeśli się uda, łaska Pana Boga“ — a w przysłowiach przecież mieści się mądrość narodów — powtóre: co począć z takim mężem, o którym się nigdy nie wie, czy patrzy na mnie, czy na jaką inną.

Wujostwo nie nalegali. Dotąd nie powiedziałam, że Basia od dwóch lat przeszło była mężatką i matką synka i córeczki. Co więc ją obchodził świat cały, a tem mniej, kim ja się zajmuję, lub nie zajmuję.

(Dokończenie nastąpi.)

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.